



Adam Mickiewicz
(1798 — 1855)

Pan Tadeusz (1834)

Księga I

[...] Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się z daleka pobielane ściany,
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi,
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerek smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów
Orzących wcześniej łąny ogromne ugoru,
Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze na kształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza. [...]

Księga II

[...] Był sad. —
Drzewa owocne, zasadzone w rzędy,
Oceniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;

Tam, płacząc stronki w marchwi zielonej warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniedzie otęłego widać brzuch harbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę,
Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rozcięte miedzą; na każdym przykopie
Stoją jakby na straży w szeregach konopie,
Cyprysy jarzyn; ciche, proste i zielone,
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, iż rojem usiadły motyle
Trzepiecąc skrzydełkami, na których się mieni
Z różnaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych, mak źrenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik licem wielkim, gorejącem,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,
Bez drzew, krzewów i kwiatów: ogród na ogórki.
Pięknie wyrosły; liściem wielkim, rozłożystym,
Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzystym.

Księga III

Telimena sądziła malowania próby
Tonem grzecznej, lecz sztukę znającej osoby;
Skąpa w pochwały, lecz nie szczędziła zachętu:
„Brawo — rzekła — winszuję, niemało talentu.
Tylko pan nie zaniedbuj; szczególnie potrzeba
Szukać pięknej natury! O, szczęśliwe nieba
Krajów włoskich! różowe cesarów ogrody!
Wy, klasyczne Tyburu spadające wody!
I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!
To, Hrabio, kraj malarzów! U nas, żal się Boże!
Dziecko muz, w Soplicowie oddane na mamki,

Umrze pewnie. Mój Hrabio, oprawię to w ramki,
Albo w album umieszczę, do rysunków zbioru,
Które zewsząd skupiałam: mam ich dosyć w biurku”.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,
Morskich szumach i wiatrach wonnych, i skał szczytach,
Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,
Śmiech i urąganie się nad ojczystym krajem.

A przecież wokoło nich ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy!
Czeremchy oplatane dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,
Leszczyna jak menada z zielonymi berły,
Ubrany jak w grona, w orzechowe perły;
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna czarne usta tuląca do malin.
Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,
Jak do tańca stające panny i młodzieńce
Wkoło pary małżonków. Stoi pośród grona
Para, nad całą leśną gromadą wzniesiona
Wysmukłością kibici i barwy powabem:
Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.
A dalej, jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
Tam matrony topole i mchami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.

[...]

„Przyjacielu rzekł Hrabia, piękne przyrodzenie
Jest formą, tłem, materią; a duszą — natchnienie,
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.
Nie dość jest przyrodzenia, nie dosyć zapału:
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!
Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się!
Dowiesz się o tym wszystkim z książek w swoim czasie.
Co się tyczy malarstwa: do obrazu trzeba
Punktów widzenia, grupy, ansamblu i nieba,

Nieba włoskiego! Stąd też w kunszcie pejzażów,
Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów!
Stąd też, oprócz Breggela, lecz nie van der Helle,
Ale pejzażysty, (bo są dwaj Brejgele)
I oprócz Ruisdala, na całej północy
Gdzie był pejzażysta który pierwszej mocy?
Niebios, niebios potrzeba”. — „Nasz malarz Orłowski,
Przerwała Telimena — miał gust soplicowski.
(Trzeba wiedzieć, że to jest Sopliców choroba,
Że im oprócz ojczyzny nic się nie podoba).
Orłowski, który życie strawił w Peterburku,
Sławny malarz (mam jego kilka szkiców w biurku)
Mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w rajcu:
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił po kraju!
Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,
Wystawiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy...”

„I miał rozum! zawołał Tadeusz z zapałem:
Te państwa niebo włoskie, jak o nim słyszałem,
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda;
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść: ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!
Bo każda chmura inna: na przykład jesienna
Pełźnie jak żółw leniwa, ulewą brzemienne,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi;
Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,
Krągła, ciemnobłękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać wkoło; nawet te codzienne,
Patrząc państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr jak sokół do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubiej, rosną, nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują jak tabun rumaków po stepie:
Wszystkie białe jak srebro, zmieszały się — nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, z wolna po niebios błękitnej równinie!”

Księga IV

[...]

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy
Ostatni król, co nosił kołpak Witoldowy,
Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,
I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.
Drzewa moje ojczyste! jeśli Niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię;
Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie
Wiekami wydrążonym, jakby w dobrym domie,
Dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem?
Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem?
I tam na Ukrainie czy się dotąd wznosi
Przed Hołowińskich domem, nad brzegami Rosi,
Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami
Sto młodzieńców, sto panien szło w taniec parami?

Pomniki nasze! ileż co rok was pożera
Kupiecka lub rządowa, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.
Wszak lipa czarnoleska, na głos Jana czuła,
Tyle rymów natchnęła! Wszak ów dąb gaduła
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa!

Ja ileż wam winienem, o domowe drzewa!
Błahy strzelec, uchodząc szyderstw towarzysz
Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy
Upolowałem dumań, gdy w dzikim ostępie,
Zapomniawszy o łowach, usiadłem na kępie,
A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznicę jakby w koralów paciorki. —
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:

Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi na kształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości.
Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,
I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie
Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,
Schował się, ale dziobem nie przestaje pukać,
Jak dziecko, gdy schowane woła, by go szukać.
Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma,
Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,
Jak pióro nad szyszakiem u kirasyjera:
Chociaż tak osłonięta, dokoła spoziera,
Dostrzegłszy gościa, skacze gajów tanecznicą
Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;
Na koniec w niewidzialny otwór pnia przepada,
Jak wracająca w drzewo rodzime Dryjada.
Znowu cicho.

[...]

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?
Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;
Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,
Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice:
Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice;
Wieść tylko albo bajka wie, co się w nich dzieje.
Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,
Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,

Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni
I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,
Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.

Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkim męstwem,
Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem:
Dalej co krok czyhają, niby wilcze doły,
Małe jeziorka, trawą zarosłe na poły,
Tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą
(Wielkie jest podobieństwo, że diabły tam siedzą).
Woda tych studni sklni się, plamista rdzą krwawą,
A z wnętrza ciągle dymi, zionąc woń plugawą,
Od której drzewa wkoło tracą liść i korę;
Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary mchem kołtunowate
I pnie garbiąc, brzydkimi grzybami brodate,
Siedzą wokoło wody jak czarownic kupa
Grzejąca się nad kotłem, w którym warzą trupa.

Za tymi jeziorkami już nie tylko krokiem,
Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem,
Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,
Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.
A za tą mgłą na koniec (jak wieść gminna głosi)
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,
Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.
W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,
Z których się rozrastają na świat ich plemiona;
W niej, jak w arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory
Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszczeni imperatory;
Około nich na drzewach gnieździ się Ryś bystry
I żarłoczny Rosomak jak czujne ministery;
Dalej zaś, jak podwładni szlachetni wassale,
Mieszkają Dzikie, Wilki i Łosie rogale.
Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,
Żyjący z pańskich stołów dworscy zauszniczy.

Te pary zwierząt główne i patryarchalne,
Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,

Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,
A sami we stolicy używają wczasu;
Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,
Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.
Mają też i swój cmentarz, kędy bliscy śmierci,
Ptaki składają pióra, czworonogi sierci:
Niedźwiedź, gdy zjadłszy zęby, strawy nie przeżuwa,
Jeleń zgrzybiały, gdy już ledwie nogi suwa,
Zając sędziwy, gdy mu już krew w żyłach krzepnie,
Kruk, gdy już posiwieje, sokół, gdy oślepnie,
Orzeł, gdy mu dziób stary tak się w kabłąk skrzywi,
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi,
Idą na cmentarz. Nawet mniejszy zwierz, raniony
Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyście strony.
Stąd to w miejscach dostępnych, kędy człowiek gości,
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.
Słychać, że tam w stolicy między zwierzętami
Dobre są obyczaje, bo rządzą się sami;
Jeszcze cywilizacją ludzką nie popsuci,
Nie znają praw własności, która świat nasz kłóci,
Nie znają pojedynków ni wojennej sztuki.
Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,
Dzikiem i swojskie razem, w miłości i zgodzie,
Nigdy jeden drugiego nie kąsa ni bodzie.
Nawet gdyby tam człowiek wpadł, chociaż niezbrojny,
Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;
One by nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,
Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia
Ojce ich pierwsze, co się w ogrójcu gnieździły,
Patrzyły na Adama, nim się z nim skłóciły.
Szczęściem, człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,
Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

[za: A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Czytelnik, Warszawa 1995, 12, 58,
92-96, 104-105, 118-120]